



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Maria Piotrowska

## Gorzki smak poniewierki

Urodziłam się 13 czerwca 1939 roku w Warszawie – 80 dni przed wybuchem wojny. Mieszkaliśmy w czwórce – Mama, Tata i moja pięcioletnia wówczas siostra – na ul. Czerniakowskiej 201 (dom ten został całkowicie zniszczony w czasie wojny). Wspomnienia moje oparte są częściowo na relacjach siostry i zmarłych już rodziców, w większości jednak na wspomnieniach własnych.

W 1942 roku Tatuś dostał pracę elektryka-konserwatora w Prudentialu – najwyższym budynku w Warszawie zwanym wtedy „drapaczem chmur”. Wraz z posadą otrzymał w nim mieszkanie dla całej rodziny. Było ono na 6 piętrze. W budynku tym mieszkało wiele polskich rodzin, jak również znajdowały się biura, w których pracowali Niemcy. Obie z siostrą jako naturalne blondynki cieszyłyśmy się względami, co było przedmiotem troski rodziców, abyśmy nie zostały wręcz porwane przez nich. Pradziadek nasz był Austriakiem i Ojciec nasz miał propozycję podpisania listy volksdeutschów, lecz oświadczył stanowczo, że nawet gdyby go spotkały represje ze strony hitlerowców, to nigdy tego nie zrobi. Swoją postawą w czasie powstania dowiódł, że czuł się stuprocentowym Polakiem.

Z okresu okupacji utkwiło mi w pamięci jedno zdarzenie. Szłam z Mamą ulicą, gdy nagle wraz z przechodniami zostałyśmy zatrzymane przez oddział żołnierzy niemieckich. Podjechała ciężarówka, z której wyprowadzono związanych ludzi. Wszyscy zostali postawieni pod mur. Mama schowała mnie pod swój płaszcz, tak że nic nie widziałam tylko słyszałam strzały.

Dzień 1 sierpnia 1944 roku rozpoczął się dla nas tragicznie. Lokale na naszym piętrze miały dwa wejścia – jedno główne, drugie tzw. schody kuchenne. Przy jednych stanęli powstańcy, gdy tymczasem od strony schodów głównych walili w drzwi Niemcy. Pamiętam, jak staliśmy pod ścianą, a wylot lufy karabinu znajdował się na wysokości moich oczu. Rodzice byli świadomi, że gdy znajdą u nas tych dwóch powstańców, to wszystkich rozstrzelają.

Z chwilą wybuchu powstania wszystkie rodziny wraz z moją zeszły do podziemi. Piwnice były bardzo solidnie zbudowane i oparły się licznym próbom „podcięcia” budynku. Niemcy zdawali sobie sprawę, że w domu tym przebywają powstańcy i za wszelką cenę próbowali go zdobyć albo zwalić. Przeżyliśmy tam prawdziwe piekło. Mury przetrwały, ale bombardowaniom nie oparły się rury wodociągowe. Rozbite przez bomby zalewały nasze piwniczne mieszkania. Wyjście na górę groziło zabiciem przez strzelających snajperów lub bomby. Do tego Niemcy strzelali pociskami zapalającymi i budynek wielokrotnie palił się. Mój Ojciec wraz z kolegą gasili ogień jak się dało. Zemdlonego z popalonymi brwiami i rzęsami Tatę kolega dwukrotnie wynosił z ognia. Tata był też organizatorem wyżywienia. Najczęściej zdobywał groch, fasolę i mąkę. Kobiety gotowały je na maszynkach karbidowych. W jakiejś piwnicy Ojciec znalazł ukryty

spirytus. Był to świetny towar wymienny, a także środek na przetrwanie tego koszmaru. Dlatego też jak tylko mieli co to pili. Efektem tego było brawurowe narażanie własnego życia.

Przyszła kapitulacja. Rodzice wzięli nas i dwie walizeczki z dobytkiem i z całym transportem warszawiaków wyruszyli do Pruszkowa. Pamiętam te hale pełne zrezygnowanych ludzi. PCK zorganizowało dla nas ciepły posiłek, a my – dzieci – dostałyśmy po dużym lizaku. Smak jego do dziś często mi się śni. Gdy opuszczaliśmy halę wiadomo było, że wszystkich młodych i zdrowych Niemcy kierują na roboty do Rzeszy. Tata zamiast wziąć jedną z nas na rękę, poszedł pierwszy sam i od razu został od nas odstawiony do tej właśnie grupy. My z Mamą zostałyśmy skierowane do wagonów, do transportu do Oświęcimia. Tata znalazł się w Berlinie i do końca wojny pracował tam w piekarni. Miał wprawdzie co jeść, ale przeżył bombardowanie i zdobywanie przez aliantów, co było chyba jeszcze gorsze aniżeli powstanie. Nas Oświęcim nie przyjął z uwagi na przepełnienie. Koczowaliśmy w zatłoczonym wagonie głodni, choć na postojach ludzie podawali do pociągu co mogli, w tym nawet mleko w butelkach dla dzieci. Transport został skierowany do rozdziału po wsiach. My trafiłyśmy najpierw do Łyszkowic, a potem do Bobiecka. Towarzyszyła temu atmosfera nie zawsze życzliwa. Najtragiczniejszym wydarzeniem było dla nas rozdzielenie z 10-letnią wówczas siostrą, która została skierowana do sąsiedniej wsi, odległej od nas o kilometr.

Przyszła mroźna zima. Warunki życia bardzo ciężkie. Spałam z Mamą na rozścielanych co wieczór wiązkach słomy, na podłodze-klepisku. Ratował mnie kożuszek, zabrany z domu podczas opuszczania Warszawy. W chacie było brudno i ubogo. Pamiętam gospodynię, która posadziwszy dziecko na stole iskała je zabijając wszy nożem, a za chwilę tym samym nożem kroїła wszystkim chleb. Moja Mama, straszna czyściocha i pedantka, nie mogła na to patrzeć. Ale cóż miała zrobić – byliśmy na ich łasce i nielasce. Chcąc ich życzliwie do nas nastawić – wszak ciągle słyszeliśmy, że jesteśmy darmozjadami – zaczęła chodzić do cukrowni do Łyszkowic, gdzie kupowała cukier, a następnie sprzedawała go po wsiach. Kupowała potem co mogła i przynosiła gospodarzom. Pamiętam do dziś smak bułeczki wsuwanej mi do ręki w nocy, gdy wszyscy już spali. Trzeba poznać głód i nędzę, żeby docenić smak takiej bułeczki. Gdy zostawałam w domu sama starałam się być niewidoczną dla otoczenia.

Kiedy mrozy zelżały Mama postanowiła jechać z nami do swojej rodziny do Słoszewa – wioski położonej pod Płońskiem. Jako pięcioletnie dziecko pobilałam już swój rekord życiowy, bo przeszłam jednego dnia 18 kilometrów. Część drogi pokonałyśmy jadąc wagonami tzw. świńskimi. Zimno okrutne. Nogi Mama nam owijała w papier i czym się tylko dało. Na rozgrzewkę dawała nam po kilka kropli wódki. Ile jechałyśmy – nie pamiętam, ale była to dla nas trzech prawdziwa Głgota. Nie pamiętam też momentu, gdy znalazłyśmy się u rodziny, nie zachwyconej zresztą, że na przednówku doszły jeszcze trzy gęby do wykarmienia.

Po kapitulacji Niemiec z drżeniem czekałyśmy na powrót Taty. Przybył na początku lata. Szukał nas idąc i jadąc autostopem od samego Berlina. Radość była ogromna. Rodzice od razu postanowili wracać do Warszawy, choć wiedzieli o jej zburzeniu. Najpierw pojechali sami. To co zastali nawet ich nie zniechęciło. Stwierdzili, że lepiej w gruzach, ale u siebie, niż kątem u rodziny.